

Idzie żołnierz borem, lasem...

Pewnie wszyscy pamiętamy dalszy ciąg, który brzmiał „...przypupuje sobie czasem”¹. To trochę dziwna piosenka. Gdybym musiała zastanowić się nad nią z dziećmi w szkole, to młodszych zapytałabym: jak sobie wyobrażacie tego żołnierza? Starsi natomiast (w ramach osvajania z językiem naukowym) musieliby się zmierzyć z pytaniem: z jaką sytuacją liryczną mamy tutaj do czynienia?

Pytanie jest o to samo, tyle że rozmowa rozgrywa się w różnych językach. Tym razem chodzi mi jednak nie o tę różnicę (choć ona jest symptomatyczna dla innych zjawisk), tylko naprawdę, zastanawia mnie ta szczególna sytuacja liryczna. Tak, jakby główna rola żołnierza polegała na spacerach po lesie i przypupywaniu - „przypupywanie” sugeruje, że żołnierz jest dość niefrasobliwy, można powiedzieć nawet beztroski (pewnie świeci właśnie jesienne słońeczko i trochę go rozleniwia). W innych wersjach było „podśpiewuje sobie czasem”. Ogólnie rzecz biorąc: sielanka. I ani słowa o tym, czym żołnierz zajmuje się naprawdę. Oczywiście później w starszych klasach uczyliśmy się, że „do ostatniej kropli krwi” i że „własną pierś”, i jeszcze „żywią i bronią” (pamiętam z dzieciństwa, że bardzo mnie zajmowało, co to jest ta „żywia”, bo co to „broń” wiedziałam). Rozczytywał się człowiek o bohaterskich Ordonach, co to wysadzali reduty, o rozmaitych Dywizjonach 303, o tym, że „czwórkami do nieba” itd. Wszyscy wiedzieli co prawda, że na wojnie nie jest łatwo („Czterej pancerni i pies”) i że wojna jest okrutna, ale miało to jakieś takie bezosobowe znaczenie. Ci, którzy zabijali, pozbawieni na ogół byli osobowości. To byli jacyś „oni” - hitlerowcy, sowieci, Krzyżacy - najczęściej źli i bardzo różni od tych, co się (lub innych) bronili. Pewnie dlatego swoistym literackim skandalem w Polsce były opowiadania Tadeusza Borowskiego o rzeczywistości obozowej, w których ofiary - podobnie jak prześladowcy - uwikłane były w ten sam świat pogardy i nienawiści. Czasem jeszcze zło było irracjonalne, pochodziło gdzieś spoza ram naszej egzystencji, było absurdalne i niewytłumaczalne, jak w „Innym świecie” Herlinga-Grudzińskiego czy „Mszy za miasto Arras” Szczypiorskiego. Oczywiście tak tylko się ślizgam po powierzchni, nie zamierzam, broń Boże zanudzać nikogo literackimi wątkami i tematami (zresztą wymagałoby to o wiele obszerniejszego opracowania - których jest zresztą mnóstwo - i w innym piśmie). Pokusiłam się tutaj tylko o bardzo skrótowy opis tego, czym mogliśmy być nasiąknąć w szkole. Ale dlaczego piszę właśnie o lekturach, żołnierzach i wojnie?

Otóż - szczerze mówiąc nie do końca wiem dlaczego - mój głęboki sprzeciw budzi frazeologia wojenna w odniesieniu do działań w obronie Ziemi. Postaram się - trochę pewnie nieudolnie, bo czasem trudno coś precyzyjnie nazwać, jeśli pochodzi z głębi serca - wyjaśnić dlaczego. Zaczniemy może od wojownika. Tutaj wytłumaczyć mi się będzie najtrudniej. Bo przecież etos wojownika kryje w sobie takie cechy jak nieugiętość, odwaga, uczciwość, szlachetność... Pewnie można dodać jeszcze kilka innych bardzo pięknych (i trochę zaginionych - podobnie jak niektóre zwierzęta - przymiotów). Oczywiście chciałabym spotykać ludzi, którzy choć odrobinę takie wartości sobie cenią. Tylko dlaczego musimy ich nazywać wojownikami? Czy gospodynie domowe, urzędnicy albo drapieżniki takich cech nie przejawiają? I jeszcze taka frazeologia: „my jesteśmy wojownikami Ziemi”. Muszę się przyznać, że takie zdanie każe mi się uśmiechnąć. No bo kto tu kogo broni? Kto komu pomaga? Czy to aby nie przejaw megalomanii?

Czasem marzymy o miejscach i czasach, w których ludzie szanowali swoją wspólnotę zarówno związki z najbliższymi, jak i z Ziemią (choć samo to rozróżnienie wydaje mi się już naddane, bo przecież wspólnota, to wspólnota, obejmuje Wszystkie Istoty i tyle), pamiętam wzruszenie, jakie towarzyszyło mi w lekturze opowieści o wojownikach, którzy nie zabijali pokonanych, przepraszali zwierzę, zanim je zabili, byli wcieleniem wszystkich najlepszych i najszlachetniejszych cech, jakie można sobie wyobrazić. Chcę wierzyć, że tak było. Z drugiej jednak strony coś podpowiada mi, że ten obraz jest zafałszowany. Podobnie, jak zafałszowany jest nasz obraz natury: dla jednych rządzi się

ona „okrutnymi” prawami, dla innych to strefa sielanki. Jeden obraz pojawia się w wyrażeniu „okrutne prawa natury”, a drugi w określeniu „na łonie natury”. A jak jest naprawdę?

Szczerze mówiąc – nie mam pojęcia i nawet się nad tym nie zastanawiam. Kiedy idę do lasu, widzę tylko życie. Samo w sobie ani złe, ani dobre. Życie. Tak często brakuje nam zdolności do czułej i uważnej, uczestniczącej obserwacji, że właściwie wszystko, co „wiemy” na temat otaczającej nas rzeczywistości, jest obciążone przesadami. To chyba dlatego, że aby wiedzieć coś o wilku, trzeba stać się wilkiem, żeby wiedzieć coś o Indianach, trzeba stać się Indianinem, żeby wiedzieć coś o tzw. ludach prymitywnych trzeba stać się człowiekiem tzw. prymitywnym. Piszę o tym dlatego, że w naszym zachwycie postawą Wojownika często odwołujemy się do wyników badań uczonych archeologów, etnologów i historyków (bo na takich badaniach opierają się wszak powieści, baśnie, teorie, wiedza, jaką dysponujemy). Warto w tym miejscu uświadomić sobie, że na pewnym poziomie również i one opierają się na uprzedzeniach. Np. jeszcze za czasów strukturalizmu Levy-Straussa wzorcowym modelem zachowania naukowego było nieangażowanie się w życie badanych społeczności, uczestnictwo w tym życiu było wręcz zabronione jako groźba braku obiektywizmu w badaniach. Jaką wiedzę o plemieniu może osiąść badacz, który nigdy nie uczestniczył w jego rytuałach, obrzędach, nic nie wie (bo nie może wiedzieć tak naprawdę) o jego tabu, o codziennym życiu już nie wspominając. I jakie możemy mieć zaufanie do wyników takich badań? Podobnie rzecz ma się z archeologią.

Jeśli dla archeologa przedmioty codziennego użytku, (naczynia, sprzęty domowe) nie mogą być jednocześnie przedmiotami kultu, to pewnych rzeczy nigdy nie zobaczy. Może też nie zobaczyć w glinianych skorupkach bębna ceramicznego. Etnolog może nie móc odczytać znaczenia zasłyszanego mitu, jeżeli nie bierze pod uwagę specyficznego poczucia humoru opowiadających (bo jego własna wizja człowieka tzw. prymitywnego nie dopuszcza możliwości, że może mieć do czynienia z osobą ironiczną lub dowcipną), może też mit błędnie interpretować, jeśli jego struktura widzenia świata jest krańcowo odmienna. Jeśli jest przywiązany do koncepcji społeczeństwa jako zbioru indywidualistów, w którym wolność kończy się tam gdzie zaczyna się wolność innych ludzi (patrzcie, ile granic sugeruje to popularne powiedzenie), to nie będzie w stanie wiernie oddać specyfiki społeczeństw, w których zasadą życia społecznego jest wspólnota. I w takim to gąszczu projekcji pomieszanych z wyrwanymi z kontekstu faktami się poruszamy.

Sęk w tym, że nawet jeśli Wojownik staje się naszym wzorcem, bo pociąga nas wizja jego szlachetności, odwagi itd. i nie mamy na myśli młodzieńca z bejzbolem, to jednak wychowano nas zupełnie inaczej i karmiono wzorcem zupełnie innym. Wszyscy (niestety – niezależnie od tego czy chcemy czy nie) uczestniczymy w procesie socjalizacji i treści, jakie przekazywano nam w szkole czy w domu nie pozostają tak zupełnie bez znaczenia, nawet jeśli od nich się odzegnujemy. W pewnym sensie gwałtowny bunt też jest formą przywiązania. Dlatego nie podoba mi się wizja wojownika, który staje w obronie Ziemi i żołnierza, który broni Góry św. Anny (podziwiam natomiast broniących tego pięknego miejsca), wojny, która ma trwać długo i trzeba rozłożyć siły itp. Sama czasem piszę o wojnie z przyrodą, ale nie podoba mi się wizja „onych”, wrogów, którzy niszczą Ziemię. To nie są jacyś bezoosobowi „oni”, to konkretni ludzie, odpowiedzialni za swoje decyzje, podejmujący je z określonych pobudek – właściwie to my, tylko w innym miejscu i w innym czasie. Dla mnie to najbardziej przejmujący dramat rozgrywający się dookoła: to my jednocześnie niszczymy, zabijamy, cierpimy, ginimy i bronimy. Chociaż może powiem za siebie: to ja jednocześnie niszczę, zabijam, cierpię, ginę i bronię. Nie jestem żadnym tam wojownikiem czy żołnierzem. Jestem bardzo słabą istotą ludzką tak mocno związaną z innymi istotami, że czasem trudno mi to zauważyć, a kiedy już zauważę, to jestem nieomal w szoku – nagle zmienia to mój świat i widzę coś zupełnie innego. Być „wojownikiem w obronie Ziemi” to (oprócz tego, że to trochę aroganckie, uzurpatorskie i przesyczone wielokrotnie nadużywaną retoryką) trochę tak, jak „walczyć o pokój”. Wojownik to wojownik – nawet jeśli nie zabija, to musi walczyć, widzieć wrogów jako tych „po drugiej stronie”. Oczywiście są też

systemy „walki bez walki” czy raczej „walki bez wroga” - i mogą być one znakomitym źródłem wiedzy o tym, jak postępować w sytuacji, kiedy jesteśmy słabsi, albo gdy trzeba posługiwać się sprytem itp., ale wprawdzie trzeba chyba pokonać tę barierę, która w naszych umysłach dzieli nas od innych.

Być może jest też tak, że ten etos wojownika był znakomity w innych czasach. Dzisiaj, kiedy wszyscy trochę chorujemy na agresję, nienawiść i oddzielenie - nie spełnia on swojej roli.

Może trzeba byłoby napisać od nowa naszą historię („naszą” tak, jak ją widzimy) - bo tak naprawdę co wiemy o swoich przodkach (oprócz tego, że byli mordowani w kolejnych wojnach trzydziestoletnich i „potopach”, że padali ofiarą wygórowanych ambicji swoich władców)? Przeraza mnie czasem to, że tak niewiele wiem o tym, co ich cieszyło, jak spędzali czas, co było dla nich ważne? Przeraza mnie to, bo i o nas niewiele będą wiedzieli - o naszych miłościach, bólu, radości, najważniejszych sprawach życia tu i teraz; nie będą rozumieli naszych wyborów i działań, tak jak my niewiele wiemy o swojej tradycji. Tradycja nie jest przecież martwa nie jest tylko zbiorem ksiązek, obrazów, starych domów i żelazek „na duszę”. To coś znacznie ważniejszego „tradycja” to związek jaki łączy nas naprawdę z naszymi prababciami i pradiadkami, z drzewami koło domu i mieszkańcami najbliższego lasu i rzeki. W tym sensie nie jest moją tradycją tradycja wiecznego żołnierza. Nie wiem, czy był żołnierzem, bo był to jego własny wybór, co było to dla niego ważne, kiedy cierpiał, kiedy się cieszył. A już na pewno nie czuję związku z jakąś bezosobową tradycją tzw. honoru, racji stanu, interesu państwowego itp.

Choć jest chyba jakaś oznaka zmian: „Europa” Normana Davisa przynosi właśnie taki trochę inny obraz historii. Historii, która jest nie tyle zbiorem cnót i wzorów (choć dobrze móc je stamtąd czerpać), ale jest skrojona na miarę istot, które ją pisały. Tych bezimiennych.

Nasze bezkompromisowe stawanie w obronie Ziemi nie musi (a nawet pewnie nie powinno) być wojną. Ja w każdym razie odżegnuję się od „wojennego” stanu umysłu, bo pustoszy on bardziej, niż buldożery na Górze św. Anny i spychacze na górskich szczytach.

Anna Nacher

1. Jest także wersja naturalistyczna, nie pasująca jednak do felietonu, która brzmi: *„I przymiera z głodu czasem”* - red.